

Wczesnym i przenikliwie zimnym, późnomarcowym rankiem Schuyler Van Alen minęła szklane drzwi liceum Duchesne. Poczła ulgę, przechodząc pod wysokim, beczułkowatym sklepieniem holu, w którym królował imponujący portret założycielek szkoły, pędzla Johna Singera Sargenta.

Czarne włosy dziewczyny nadal krył obszuty futrem kaptur. Nie zdejmowała go, gdyż wolała anonimowość od grzecznościowych powitań wymienianych przez uczniów.

Dziwnie było myśleć o szkole jako o przystani, schronieniu, miejscu, w którym chciała się jak najszybciej znaleźć. Przez długi czas Duchesne z błyszczącymi marmurowymi posadzkami i malowniczym widokiem na Central Park zdawało się Schuyler salą tortur. Nie znosiła wchodzić po ogromnych schodach, czuła się nieszczęśliwa w niedogrzanych salach, nie cierpiała nawet pięknych terakotowych kafelków w jadalni.

W szkole Schuyler często czuła się niedostrzegana, uważała się za brzydulę, chociaż przeczyły temu głęboko osadzone, błękitne oczy i delikatne rysy, nadające jej wygląd dreźniejskiej porcelanowej lalki. Odkąd sięgała pamięcią, lepiej sytuowani koledzy i koleżanki traktowali ją jak dziwadło, wyrzutka - osobę niepotrzebną i niepożądaną. Nieważne, że jej rodzina należała do najstarszych i najbardziej zasłużonych w mieście. Czasy się zmieniły. Ród Van Alenów, niegdyś dumny i potężny, stracił na znaczeniu z upływem wieków i obecnie niemal wymarł. Schuyler była jedną z ostatnich jego potomkiń.

Przez krótki czas Schuyler miała nadzieję, że sytuacja się zmieni po powrocie z wygnania jej dziadka - liczyła, że obecność Lawrence'a w jej życiu sprawi, że nie będzie już sama. Ale nadzieje legły w gruzach, kiedy Charles Force zabrał ją z podupadłej rezydencji przy Riverside Drive, jedyne go domu, jaki kiedykolwiek miała.

- Ruszysz się wreszcie, czy mam ci pomóc?

Schuyler podskoczyła. Nie zauważyła, że zatrzymała się zamyślona przed drzwiczkami szkolnej szafki, blokując dostęp do szafki powyżej. Dzwonek sygnalizujący początek szkolnego dnia dzwonił wściekle. A za plecami Schuyler stała Mimi Force, mieszkająca z nią obecnie pod jednym dachem.

Niezależnie od tego, jak bardzo nie na miejscu Schuyler czuła się w szkole, było to niczym w porównaniu z arktycznym chłodem, jakiego codziennie doświadczała w ogromnej rezydencji Force'ów, położonej naprzeciwko Metropolitan Museum. W Duchesne przynajmniej nie słyszała Mimi utyskującej na nią bezustannie. Tu zdarzało się to najwyżej raz na kilka godzin. Nic dziwnego, że Duchesne wydawało jej się ostatnio takie gościnne.

Mimo że Lawrence Van Alen pełnił teraz funkcję Regisa, zwierzchnika błękitnokrwistych, nie miał władzy, by zatrzymać postępowanie adopcyjne. Kodeks Wampirów wymagał ścisłego przestrzegania ludzkich praw, co miało uchronić błękitnokrwistych przed niepożądanym dochodzeniem. W swoim testamencie babka Schuyler ogłosiła ją wprawdzie usamodzielnionym nieletnim, ale przebiegli prawnicy Charlesa Force'a podważyli zapis przed sądem czerwonokrwistych, który rozpatrzył sprawę na ich korzyść. Charles został wyznaczony na głównego spadkobiercę, otrzymując w pakiecie Schuyler.

- No? - Mimi wciąż czekała.

- A, przepraszam - powiedziała Schuyler, biorąc podręcznik i odsuwając się.

- I masz za co. - Mimi zmrużyła szmaragdowe oczy, mierząc ją pogardliwym spojrzeniem. Takim samym obdarzyła Schuyler zeszłego wieczoru, przy obiedzie, i dziś rano, kiedy wpadły na siebie w holu. Spojrzenie mówiło: *Co ty tu robisz? Nie masz prawa istnieć.*

- Co ja ci takiego zrobiłam? - szepnęła Schuyler, wkładając książkę do znoszonej płóciennej torby.

- Uratowałaś jej życie!

Mimi z wściekłością spojrzała na rudowłosą piękność, która wtrąciła się w ich rozmowę.

Bliss Llewellyn, z pochodzenia Teksanka, dawna akolitka Mimi, odwzajemniła spojrzenie. Jej policzki były równie czerwone jak włosy.

- Uratowała ci skórę w Wenecji, a ty nie masz nawet dość przyzwoitości, żeby okazać wdzięczność!

Niegdyś Bliss była cieniem Mimi i niezwłocznie wypełniała wszystkie jej polecenia, ale ich przyjaźń załamała się podczas ostatniego ataku srebrnokrwistych, których Mimi okazała się chętną, nawet jeśli nieskuteczną, współniczką. Mimi została skazana na śmierć i wyrok byłby wykonany, gdyby nie pomoc Schuyler w postaci rytuału próby krwi.

- Nie uratowała mi życia. Powiedziała tylko prawdę. Moje życie nie było zagrożone - odparła Mimi, przeczesując srebrną szczotką delikatne włosy.

- Nie zwracaj na nią uwagi - poradziła Bliss.

Schuyler uśmiechnęła się, czując przypływ odwagi spowodowany słowami poparcia.

- Byłoby trudno. To tak, jakby nie zwracać uwagi na globalne ocieplenie.

Wiedziała, że zapłaci później za ten komentarz. Będą kamyki w płatkach śniadaniowych. Smoła na pościeli. Albo najnowsza przykrość - zniknięcie kolejnego należącego do niej drobiazgu.

Już straciła medalion swojej matki, skórzane rękawiczki i ukochany, zaczytany egzemplarz *Procesu* Kafki, sygnowany na pierwszej stronie inicjałami J.F.

Schuyler bez wahania musiałaby przyznać, że drugiej sypialni gościnnej w posiadłości Force'ów (pierwsza była zarezerwowana dla podejmowanych przez rodzinę dostojników) z pewnością nie można było nazwać schowkiem pod schodami. Pokój pięknie wykończono i wyposażono we wszystko, czego mogła pragnąć dziewczyna. Miała olbrzymie łóżko ze wspartym na czterech kolumnach baldachimem i puchową kołdrą, szafę pełną markowych ubrań, ekskluzywny zestaw multimedialny, tuziny zabawek dla jej ogara, Beauty, oraz leciutki jak piórko laptop MacBook Air. Ale nawet jeśli w nowym miejscu opływała w bogactwa materialne, brakowało jej uroku starego domu.

Tęskniła za swoim pokojem z seledynowymi ścianami i rozchwanym biurkiem. Tęskniła za zakurzonymi pokrowcami w salonie. Tęskniła za Hattie i Julusem, którzy od zawsze byli przy jej rodzinie. Tęskniła oczywiście za dziadkiem. Ale przede wszystkim tęskniła za wolnością.

- Wszystko okej? - szturchnęła ją Bliss. Schuyler wróciła z Wenecji z nowym adresem i nieoczekiwaną sojuszniczką. Ona i Bliss zawsze odnosiły się do siebie życzliwie, ale teraz stały się niemal nierozłączne.

- Jasne, przywykłam. Dałabym jej radę, gdybyśmy walczyły w kisielu - uśmiechnęła się Schuyler. Widywanie się z Bliss w szkole należało do tych niewielkich aktów łaski, jakie oferowało jej Duchesne.

Weszła po krętych tylnych schodach, za kolegami idącymi w tym samym kierunku. Kątem oka zobaczyła błysk i już wiedziała. To on. Nie musiała patrzeć, żeby wiedzieć, że szedł w tłumie uczniów zmierzających w przeciwną stronę. Mogła zawsze wyczuć jego obecność, jakby jej umysł był precyzyjnie dostrojoną anteną, chwytającą jego sygnał, gdy tylko znalazł się w pobliżu.

Może to wampiryczna część osobowości ostrzegала ją, że niedaleko jest ktoś z jej rodzaju, a może nie miało to absolutnie nic wspólnego z nadprzyrodzonymi mocami.

Jack.

Patrzył przed siebie, nie dostrzegając jej, nie rejestrując w ogóle jej obecności. Gładkie jasne włosy, równie świetliste, jak włosy jego siostry, miał odgarnięte z dumnego czoła, a w odróżnieniu od otaczających go niedbale ubranych chłopców, prezentował się wręcz

królewsko w blezerze z krawatem. Był tak przystojny, że Schuyler nieświadomie wstrzymała oddech. Ale podobnie jak w rezydencji - Schuyler odmawiała nazywania tego miejsca „domem” - Jack ją ignorował.

Jeszcze raz obrzuciła go wzrokiem i pobiegła na górę. Kiedy weszła do sali, lekcja się już zaczęła. Starając się możliwie nie rzucać w oczy, chciała z przyzwyczajenia zająć swoje miejsce, z tyłu przy oknie, obok pochylonego nad książką Olivera Hazarda-Perry'ego. Ale w porę się zorientowała i przeszła na drugą stronę klasy, siadając pod klekoczącym wentylatorem bez przywitania się z najlepszym przyjacielem.

Charles Force postawił sprawę jasno: odkąd mieszka pod jego dachem, ma przestrzegać jego zasad. Pierwszą z nich był zakaz widywania się z dziadkiem. Zadawniona wrogość między Charlesem a Lawrencem brała się nie tylko z tego, że ten ostatni zajął miejsce Charlesa w Zgromadzeniu.

- Nie chcę, żeby napychał ci głowę kłamstwami - oznajmił Charles. - Może rządzić Radą, ale nie ma żadnej władzy w moim domu. Jeśli mi się sprzeciwisz, zapewniam, że tego pożałujesz.

Drugą zasadą w domu Force'ów był zakaz przebywania w towarzystwie Olivera. Charlesa mało szlag nie trafił, kiedy odkrył, że Schuyler uczyniła Olivera (przypisanego jej zausznika) swoim familiantem.

- Po pierwsze, jesteś na to o wiele za młoda. Po drugie, to niestosowne. W złym guście. Zausznicy są służącymi. Nie mają - i nie powinni - pełnić funkcji familiantów. Musisz natychmiast znaleźć innego człowieka i zerwać wszystkie kontakty z tym chłopcem.

W głębi duszy Schuyler niechętnie przyznawała, że prawdopodobnie Charles miał rację. Oliver był jej najlepszym przyjacielem, a ona nazaczyła go jako swoją własność, zmieszała jego krew ze swoją, a to rodziło określone konsekwencje. Czasem miała ochotę wrócić do dawnych czasów, zanim wszystko stało się tak skomplikowane.

Schuyler nie miała pojęcia, dlaczego Charlesa w ogóle obchodziło, kto będzie jej familiantem, skoro Force'owie zerwali ze starą tradycją zauszników. Ale ściśle przestrzegała zasad. Każdy mógł zobaczyć, że nigdy nie kontaktuje się z Lawrencem i nie obdarza świętym pocałunkiem Olivera.

W jej nowym życiu było mnóstwo rzeczy, których nie mogła lub które powinna robić. Ale były miejsca, gdzie zasady nie obowiązywały. Gdzie Charles nie miał żadnej władzy. Gdzie Schuyler mogła być wolna.

Po to przecież wymyślono tajne kryjówki.

Mimi Force lubiła dźwięk obcasów stukających o marmur. Przyjemne klikanie jej lakierowanych szpilek od Jimmy'ego Choo rozlegało się echem w całym holu Force Tower. Lśniącą nowością kwatery główna medialnego imperium jej ojca obejmowała kilka budynków w samym centrum Manhattanu. Błyszczące windy wypływały kolejne porcje „Forcies - pięknych pracownic koncernu Force'ów - redaktorek specjalizujących się w projektowaniu, modzie, dekoracji wnętrz - spieszących na biznes lunch w restauracji Michael's lub wsiadających do taksówek, które miały je zabrać na najrozmaitsze umówione spotkania na mieście. Doskonale ubrane, miały identycznie ściągnięte twarze, jakby ich nieustannie zapchany grafik nie pozostawiał czasu na uśmiech. Mimi doskonale tu pasowała.

Miała zaledwie szesnaście lat, ale idąc przez zatłoczony hol do nieoświetlonej wnęki skrywającej windę, którą można było otworzyć tylko tajnym i niepodrabialnym kluczem, czuła się niesamowicie stara. Pamiętała, że Force Tower oryginalnie zostało ochrzczone Van Alen Building. Przez lata wznosiło się na wysokość zaledwie trzech pięter, ponieważ planowany wieżowiec nie został nigdy wybudowany z powodu krachu na nowojorskiej

giełdzie w 1929 roku i następującego po nim Wielkiego Kryzysu. Dopiero w zeszłym roku koncern jej ojca ukończył wreszcie prace budowlane zgodnie ze starymi planami i nadał biurowcowi nową nazwę.

Mimi rozejrzała się, dyskretnie wysyłając do wszystkich w pobliżu silną sugestię, aby nie zwracali na nią uwagi. Sięgnęła do klamki, przyciskając palec do zamka, tak aby wytoczyć kroplę krwi. Analizujący krew zamek nie stanowił najnowszego osiągnięcia technologii, wręcz przeciwnie, był jak najbardziej starożytnym wynalazkiem. Krew była porównywana z wzorcami DNA w bazie - zgodność z wzorcem oznaczała, że przed drzwiami stoi prawdziwy błękitnokrwisty. Krwi wampira nie dawało się podrobić ani wytoczyć wcześniej, ponieważ w kontakcie z powietrzem zniknęła w niecałą minutę.

Drzwi otwarły się bezgłośnie i Mimi zjechała windą na dół. Czerwonokrwisci nie wiedzieli, że w 1929 roku budynek został ukończony zgodnie z planem - tyle tylko, że sięgał w dół, zamiast w górę.

Była to odwrotność drapacza chmur, podziemna konstrukcja, skierowana w stronę jądra planety zamiast w stronę nieba. Mimi patrzyła na mijane piętra. Była piętnaście, potem trzydzieści, potem sześćdziesiąt, potem trzysta metrów pod ziemią. W przeszłości błękitnokrwisci żyli w takich miejscach, aby ukryć się przed srebrnokrwistymi prześladowcami. Teraz Mimi rozumiała, co miał na myśli Charles Force, kiedy szydził, że Lawrence i Cordelia chcieliby, aby wampiry „znowu kryły się w jaskiniach” .

Nareszcie winda zatrzymała się, otwierając drzwi. Mimi skinęła głową siedzącemu przy biurku zausznikowi. Czerwonokrwisty przypominał ślepego kreta i wyglądał, jakby dawno nie widział słońca. Zupełnie jakby urwał się z fałszywych legend o wampirach - pomyślała z rozbawieniem Mimi.

Czuła potężne zakłęcia ochronne nałożone na ten obszar. To powinno być najlepiej ukryte i najbezpieczniejsze schronienie błękitnokrwistych. Lawrence był absolutnie zachwycony błyszczącą, podejrzaną wieżą, wzniesioną na górze. „Chowamy się pod latarnią!” - śmiał się. Repozytorium Historyczne zostało ostatnio przeniesione o kilka poziomów niżej. Od czasu ataku pomieszczenie pod klubem stało puste. Mimi nadal przypisywała sobie winę za to, co się tam stało. Chociaż nie była winna! Nie chciała nikomu zrobić naprawdę krzywdy. Chciała tylko, żeby Schuyler zeszła jej z drogi. Może była naiwna. Rozpamiętywanie minionego nie miało teraz sensu.

- Dobry wieczór, Madeleine - przywitała ją elegancko ubrana dama w modnym kostiumie Chanel.

- Dobry wieczór, Dorotheo - skinęła głową Mimi, idąc za starszą panią do sali konferencyjnej. Wiedziała, że część członków Komitetu nie była zachwycona przyjęciem jej do wewnętrznego kręgu. Niepokoiło ich, że jest jeszcze zbyt młoda i nie w pełni panuje nad swoimi wspomnieniami, kryjącymi całość wiedzyze wszystkich przeszłych wcieleń. Proces uświadamiania sobie swojego dziedzictwa zaczynał się u błękitnokrwistych wraz z początkiem przemiany, w piętnastym roku życia, i trwał do końca wieczornych lat (czyli mniej więcej do dwudziestego pierwszego roku życia), kiedy to ludzka powłoka ostatecznie ustępowała, odsłaniając ukrytego pod nią wampira. Mimi nie obchodziło, co o niej myślą. Miała swoje obowiązki, a nawet jeśli nie pamiętała wszystkiego, pamiętała dostatecznie wiele.

Była tutaj, ponieważ pewnego dnia, niedługo po powrocie z Wenecji, Lawrence późnym wieczorem przybył do rezydencji Force'ów, aby zobaczyć się z Charlesem. Mimi podsłuchiwała całą rozmowę. Kiedy Lawrence przejął tytuł Regisa, Charles na własny wniosek zrezygnował z miejsca w Radzie, ale Lawrence namawiał go, aby przemyślał tę decyzję.

- Potrzebujemy teraz całej naszej siły. Potrzebujemy cię, Charlesie. Nie odwracaj się do nas plecami - głos Lawrence'a był niski i schrypnięty. Zakasłał, a słodki zapach tytoniu z jego fajki wypełnił korytarz na zewnątrz gabinetu jej ojca.

Charles był nieugięty. Został upokorzony i odrażony. Skoro Rada nie życzyła sobie go widzieć, on nie życzył sobie widzieć Rady.

- Po co jestem im potrzebny, skoro mają ciebie, Regisa? - burknął Charles, jakby samo wypowiedzenie tych słów było czymś odrażającym.

- Ja się tego podejmę.

Lawrence tylko uniósł brwi na widok pojawiającej się przed nimi Mimi. Charles także nie wyglądał na zaskoczonego. Od dziecka miała talent do radzenia sobie z zamkniętymi drzwiami.

- Azrael - mruknął Lawrence. - Ile pamiętasz?

- Nie wszystko. Jeszcze nie teraz. Ale pamiętam ciebie... dziadku - Mimi skrzywiła wargi w uśmiechu.

- To mi wystarczy. - Uśmiech Lawrence'a przypominał trochę uśmiech Charlesa. - Charlesie, w takim razie postanowione. Mimi zajmie twoje miejsce w Radzie. Jako twój przedstawiciel będzie ci składać raporty. Azraelu, możesz odejść.

Mimi już miała zaprotestować, kiedy zorientowała się, że bez jej wiedzy zauroczono ją, nakłaniając do opuszczenia gabinetu. Ten stary dziad był zdecydowanie za sprytny. Ale nic nie mogło jej powstrzymać przed przyciśnięciem ucha do drzwi.

- Jest niebezpieczna - powiedział cicho Lawrence. - Byłem zaskoczony, że wezwałeś w tym cyklu bliźnięta. Czy to naprawdę konieczne?

- Tak jak sam mówiłeś, jest silna - westchnął Charles. - Jeśli naprawdę czeka nas bitwa, przed którą stale ostrzegasz, będziesz jej potrzebować u swego boku.

- Jeśli pozostanie wierna - prychnął Lawrence.

- Zawsze była - powiedział ostro Charles. - I nie jest jedyną spośród nas, która niegdyś kochała Niosącego Światło.

- Tragiczny błąd, który wszyscy popełniliśmy - skinął głową Lawrence.

- Nie, nie wszyscy - przypomniał cicho Charles.

Mimi na palcach odeszła od drzwi. Usłyszała wszystko, co chciała wiedzieć.

*Azrael.* Nazwał ją jej prawdziwym imieniem. Imieniem wrytym głęboko w jej świadomości, w jej kościach, w jej krwi. Czym była oprócz swojego imienia? Kiedy żyje się tysiące lat, posługując się coraz to nowym przezwiskiem, imiona stają się czymś w rodzaju opakowania. Ozdobą, na którą się odpowiada. Weźmy choćby jej imię w tym cyklu: Mimi. Imię dziewczyny z towarzystwa, kapryśnej kobietki, która spędza dni na wyczerpywaniu limitu kart kredytowych, interesując się tylko salonami spa i przyjęciami.

Kryło jej prawdziwą tożsamość.

Ponieważ była Azraelem. Aniołem Śmierci. Wnosiła ciemność w światło. To był jej dar i jej przekleństwo.

Była błękitnokrwistą. Tak jak powiedział Charles, jedną z najsilniejszych. Charles i Lawrence mówili o ostatnich dniach przed Upadkiem. Podczas wojny z Lucyferem to Azrael i jej bliźniaczy brat Abbadon przeważyli szalę zwycięstwa, zmieniając przebieg bitwy. Zdradzili swojego księcia i dołączyli do Michała, klękając przed złotym mieczem. Pozostali wierni światłu, chociaż byli zrodzeni z ciemności.

Ich dezercja okazała się punktem zwrotnym. Gdyby nie ona i Jack, kto tak naprawdę by wygrał? Czy Lucyfer zostałby królem królów na niebieskim tronie, gdyby go nie opuścili? A w nagrodę dostali tylko to wieczne życie na Ziemi. Niekończący się cykl naprawiania win i poszukiwania rozgrzeszenia. Przed kim i po co się kajali? Czy Bóg w ogóle pamiętał o ich istnieniu? Czy kiedykolwiek powrócą do utraconego Raju?

Czy to wszystko było tego warte? - pomyślała Mimi, zajmując swoje miejsce w Radzie. Dopiero teraz zauważyła niezadowolenie otaczających ją osób.

Spojrzała tam, gdzie wpatrywała się Dorothea Rockefeller, i ze zdziwienia omal nie spadła z krzesła. W najlepiej strzeżonym, najbezpieczniejszym schronieniu błękitnokrwistych, na honorowym miejscu koło Lawrence'a, siedział nikt inny, jak zhańbiony były venator, srebrnokrwisty zdrajca, Kingsley Martin.

Pochwycił spojrzenie Mimi i wycelował w jej kierunku dwa palce jak pistolet. I będąc w każdym calu Kingsleyem, uśmiechnął się, udając, że strzela.